

Geronimo i edukacja historyczna

2 września 2017

Temat znany, często poruszany, nabrał aktualności po otwarciu nowych podręczników do historii z jakich ma pobierać nauki dziatwa od zaczynającego się właśnie roku szkolnego.

Układ i zawartość podręczników zawsze była, jest i będzie przedmiotem ożywionej dyskusji i sporów. To nawet dobrze. Tzn. byłoby dobrze, gdyby efektem sporu były podręczniki coraz lepsze, a spór dotyczył jedynie np. nieuwzględnienia przy ich konstrukcji uwag, dzięki którym mogłyby być jeszcze lepsze.

Niestety, nasze spory jak dotąd dotyczą tego czyja racja, czytaj: interpretacja i dobór faktów historycznych przeważy. Stąd od kilkunastu lat podręczniki dzielnie nurkują niebezpiecznie zbliżając się do dna.

Pani dr hab. K. Górak – Sosnowska ze Szkoły Głównej Handlowej podzieliła się ostatnio wiedzą na temat nauczania historii w innych krajach i szczerze mówiąc – zaskoczenia nie było.

Podzieliła mianowicie metody nauczania na trzy grupy. Do pierwszej należy większość krajów Europy zachodniej, w tym – co ważne – dawne kraje kolonialne. Tam naucza się historii z uwzględnieniem także rzeczy złych, które były udziałem własnego państwa i narodu, z ewidentnie jasnym celem niepowtarzania własnych błędów w przyszłości. Kierunek mądry, bo w długiej perspektywie przynoszący korzyści takiemu państwu. Nie na dziś, nie konkretnej partii, ale krajowi, którego obywatele będą znali konsekwencje procesów historycznych, ich źródła i przebieg, a przez to będą mieli więcej szans na lepsze życie w przyszłości. Pomijając drobne usterki takiego podejścia w postaci źle pojmowanej, przesadnej poprawności politycznej, która od czasu do czasu ma miejsce, jest to jedyny kierunek zapewniający lepszą przyszłość.

Druga grupa krajów, do których należy nasza Ojczyzna to te, w których o błędach i grzechach mówi się wyłącznie w odniesieniu do obcych, nie zaprzecza się wprowadzić złym zjawiskom w przeszłości, ale są one zwykle dziełem „obcych lub zdrajców”, a najlepiej, jeśli to jest w jednym pakiecie. Gloryfikuje się za wszelką cenę tzw. bohaterów narodowych, na wszelki wypadek w sposób wybiórczy podając ich biogramy tak, by dziecko przypadkiem nie pomyślało, że np. taki Kościuszko latał za dziewczuchami. Choć latał. No, ale to „nie przystoi”, prawda?

Do trzeciej grupy zaliczyła p. Górak – Sosnowska kraje (głównie Bliskiego Wschodu i Afryki północnej), w których naucza się dość prosto – cokolwiek w przeszłości zrobił nasz kraj jest słuszne i zbawienne.

Szczerze mówiąc mam czasem wątpliwości, do której z tych grup zaliczyłbym Polskę, szczególnie po ostatniej reformie oświaty i zawartości podręczników do historii.

Na pozór wydaje się, że aby nauczanie historii było naprawdę nauczaniem, powinno skupiać się na ukazywaniu mechanizmów procesów historycznych tak, by wychować obywatela świadomego, który potrafi zrozumieć świat współczesny, a także przewidzieć konsekwencje współczesnej polityki na jego przyszłość w perspektywie 20 – 40 i więcej lat.

Wkuwanie na pamięć nazwisk bohaterów i dat (co można bez trudu samemu znaleźć w książkach lub Internecie) nie ma żadnego sensu i niepotrzebnie zaśmieca umysły młodych ludzi. Przypomina to dostarczanie narzędzi człowiekowi bez wyjaśnienia do czego one służą. Co on z nimi zrobi? Nic, bo my go tego nie uczymy. A to nic będzie miało konsekwencje w postaci popełnianych po raz setny błędów.

Ile jest warta taka „edukacja”?

Oczywiście, zmieniają się czasy, zmienia się spojrzenie na wiele spraw, ale te zmiany są właśnie spowodowane edukacją i wnioskami jakie potrafia wyciągać z historii wyedukowani

ludzie.

Dlaczego w tytule wspominałem indiańskiego wodza Goyathlay, któremu Meksykanie w dość zabawnych okolicznościach nadali imię Geronimo?

Dlatego, że jego żywot, a ściślej to, czego o jego życiu dowiadywało się amerykańskie społeczeństwo w wieku szkolnym, jest kapitalnym przykładem na zmiany zachodzące w prawidłowo kształtowanej edukacji.

Jeszcze w latach 1930. i 1940. dominowało spojrzenie klasyczne typu kolonialnego. Przybyliśmy, zdobyliśmy, a więc mieliśmy i mamy rację. Indianie to dzikusy, które zamiast wdzięczności odznaczały się agresją wobec ludzi cywilizujących kraj, źli z definicji, podstępni, stawiający opór postępowi i dobrodziejstwom jakie ze sobą on niesie.

Widać to w książkach tamtego okresu, a nawet w westernach. Jeśli pojawiała się tam postać najbardziej znanego wodza Apaczów, to w kontekście krzywd, jakie wyrządził osadnikom i amerykańskiej armii, która go ostatecznie pokonała.

To była narracja oficjalna, bo ktoś kto chciał, mógł znaleźć nieco inne oblicze Geronima – szczególnie, że w czeluściach bibliotek figurowała jego biografia podyktowana przez niego samego dziennikarzowi Barretowi (polskie wydanie – „Geronima żywot własny”), która też nie zawierała wszystkiego, ale pokazywała nieco inaczej słynnego wroga białych, a przede wszystkim jego motywacje.

Zestawienie wszystkich faktów z jego życiorysu ukazuje nam pewien niezwykły proces, proces o wiele bardziej interesujący od jakiegokolwiek literackiego ujęcia, czy filmowej kreacji. Proces zmian, jakie zachodziły w jednym człowieku uwikłanym w historię. Pokazuje zdolność człowieka do przystosowania się, pokazuje Geronima jako kogoś, kto potrafi patrzeć, myśleć, uczyć się, wyciągać wnioski.

Dlatego nie należy nazbyt długo zatrzymywać się nad Geonimem, który imponował współplemięńcom niezwykłą odwagą w walce, co jest prawdą, ale taką odwagą odznaczało się wielu. Można zrozumieć jego nienawiść do białych, którzy zamordowali mu żonę i dwoje małych dzieci, ale też zdziwić się, kiedy później funkcjonował on w ich świecie najwyraźniej bez większych oporów.

Che Guevara przyznawał, że na historii Geronima uczył się taktyki partyzanckiej. Nic dziwnego, niektóre wyczyny wojennego wodza Apaczów (nie był ich wodzem dziedzicznym, a jedynie przywódcą na czas wojny) warte są studiów na uczelniach wojskowych choćby po to, by armia nie popełniała tak prostych błędów, jak w słynnej wojnie z Apaczami w latach 1880.

Trzeba by niezwykle utalentowanego reżysera, by pokazał istotę słynnego manewru wykonanego przez Indian po pierwszym ich poddaniu się i zgodzie na osiedlenie w rezerwacie. Manewr genialny w swej prostocie, ale naprawdę trudny do pokazania. Wojsko otwierało kolumnę marszową, a za nim jechali Indianie z końmi, dobytkiem i rodzinami. Trwało to kilka dni, aż w pewnym momencie na znak Geronima Apacze po prostu... skręcili w boczną drogę niezauważeni przez żołnierzy. Żadna tam widowiskowa walka, żadnych „efektów specjalnych”, za to doskonale wybrany moment – skutkujący tym, że wojsko dopiero po godzinie zorientowało się, że wziętych do niewoli Indian zwyczajnie nie ma. A po godzinie – szukaj wiatru w polu.

Najciekawsze z historycznego punktu widzenia są dzieje Geronima po jego ostatecznej kapitulacji. Żyjąc z konieczności wśród białych, nie był zwykłym więźniem. Patrzał i szybko się uczył. Nauczył się co to gra pozorów, co to PR. Jego opowieści o życiu Apaczów zawsze obfitowały w ciekawostki, których nie opowiadał wcześniej; można się domyślać, że część z nich była zmyślona.

Geronimo nie miał jednak oporów przed opowiadaniem najbardziej

nieprawdopodobnych rzeczy, ponieważ zauważył, że biali łakną sensacji jak kania dżdżu. Mało tego – zrozumiawszy rolę pieniądza w swoim nowym świecie, zrobił się biznesmenem nie tylko na polu literackich fantazji, ale na każdym innym. Wiedział, że im więcej zażąda za swoje zdjęcie tym bardziej będzie ono pożądane. 5 dolarów za fotkę na początku XX w. to były niezłe pieniądze. Zaczął uprawiać ziemię, a arbuzy z jego ogródka pokrojone na grube kawałki i nazwane „a la Geronimo” osiągały na targu ceny niemożliwe dla innych sprzedawców.

Jego obecność uświetniała międzynarodowe wystawy, o jego obecność zabiegał Biały Dom, z nim chętnie fotografowali się politycy. Geronimo „udzielał się” – nigdy nie zapominając o wyciąganiu z takich akcji korzyści. Wiedział, że gdyby tego nie robił, jego osoba „straciłaby na wartości”.

To tylko jeden z przykładów tego, ile potrafił się nauczyć. Patrzał na świat białych i szybko nauczył się wykorzystywać rządzące nim mechanizmy dla swojej korzyści. Dokonał ich syntezy, z której oni sami często nie zdawali sobie sprawy. Kto więc ostatecznie wygrał tę walkę?

To także przykład zachowań, które należałoby pokazywać uczniom czy studentom. Niestety, nie robi się tego do dziś. Geronimo najczęściej pokazuje się w książkach czy filmach jako tym razem „dobry Indianin” skrzywdzony przez bezwzględnych białych, dzielny, szlachetny (sam by się zdziwił) i... kompletnie nieprawdziwy. Szkoda.

Opowiedziałem o Geronimo, ponieważ jego historia mniej wywołuje emocji u nas, a przecież nie o emocje tu chodzi.

Chodzi o konstrukcję nauczania historii taką, która czegoś nasze dzieci nauczy. Dla ich korzyści i – co dość oczywiste – dla korzyści kraju w przyszłości.

Np. tego, że niekoniecznie największym patriotą jest ten, kto z rozdartą wrzaskiem gębą biega z biało-czerwoną flagą, szukając kogoś, kogo mógłby skopać z błogosławieństwem szefa

polskiej policji. Tego, że nieudacznymi i bezmyślnymi przywódcami niektórych polskich powstań (np. z 1846 r.) są dużo mniej warci, niż nauczyciel gimnazjalny, który wyrzucony ze szkół zajął się biznesem i na długie lata zdominował handel maszynami w zaborze pruskim. Nazywał się Hipolit Cegielski. On nie musiał być „dumnym Polakiem”, nie musiał „wstawiać z kolan”. Z nim Niemcy liczyli się bez takich pustych gestów, bo było z kim. Niemieckie firmy nawet z pomocą państwową nie potrafiły być dla niego zagrożeniem.

Co najciekawsze – dziś mamy kilka sytuacji podobnych, o niektórych już pisałem, ale czy one znajdą swoje miejsce w podręcznikach?

Niestety, nic na to nie wskazuje.

Nasza dyskusja o edukacji wielokrotnie musi zacząć się od pytania: po co w ogóle mają uczyć się nasze dzieci?

Czego – a, to dopiero kolejne pytanie. Nie pierwsze, jak to ma miejsce obecnie.

Autorstwo: Jerzy Łukaszewski

Źródło: StudioOpinii.pl